

Petersburg, Lipiec

Na początku lipca, w dzień nadzwyczajnie upalny, przed wieczorem wyszedł na miasto ze swego nędznego, sublokatorskiego pokoiku, odnajmowanego przy uliczce S-kiej, pewien młody człowiek i wolnym krokiem, jakby niezdecydowanie, skierował się w stronę mostu K-go.

Tym razem szczęśliwie uniknął spotkania na schodach ze swoją gospodynią. Pokoik jego, mieszczący się na samym poddaszu, przypominał raczej szafę aniżeli mieszkanie. [...]

Wygląd Raskolnikowa

Był tak nędznie ubrany, że ktoś inny na jego miejscu, nawet przyzwyczajony do tego, krępowałby się w biały dzień wychodzić na ulicę w takich łachmanach. Była to jednak taka dzielnica, że żadnym strojem nie można tu było nikogo zadziwić. Bliskość placu Siennego, mnogość pewnych przybytków oraz przeważająca tu ludność rzemieślnicza i cechowa, stłoczona na tych centralnych petersburskich ulicach i zaułkach, wznagały pstrokaciznę ogólnej panoramy obecnością takich indywidualiów, że dziwne wydawałoby się zwracanie uwagi na tego rodzaju postacie. Ale w sercu młodego człowieka zebrało się tyle okrutnej pogardy, że nie bacząc na całą właściwą mu, częstokroć bardzo młodzieńczą drażliwość, najmniej krępował się na ulicy swoich łachmanów. Inna sprawa spotkania z niektórymi znajomymi albo z dawnymi kolegami, z którymi w ogóle nie lubił się spotykać... Jednakże gdy pewien pijany jegomość, którego nie wiadomo po co i dokąd wieziono właśnie ogromną, pustą platformą, zaprzęzoną w ogromnego pociągowego konia, krzyknął mu w przejeździe: „Hej, ty, szwabski kapelusiarzu!” i zarechotał na cały głos, wskazując na niego palcem, młodzieniec stanął jak wryty i schwytał się kurczowo za kapelusz.

Szynk, cz. 1, II

Do tego stopnia znużył go ten miesiąc samotności, rozterki i ponurej udręki, że zapragnął choćby przez chwilę odetchnąć w innym świecie, w jakimkolwiek, toteż nie bacząc na otaczający go brud, z przyjemnością siedział w szynku. Właściciel zakładu był w innym gabinecie, ale często zaglądał do głównej sali, do której schodził skądś po schodkach, przy tym najpierw ukazywały się jego eleganckie, starannie wypastowane buty z czerwonymi wyłogami. Miał na sobie wyświechtaną kapotę i strasznie zaplamioną atlasową kamizelkę, był bez krawata, a twarz błyszczała mu jak naoliwiona żelazna kłódka. Za kontuarem stał czternastoletni chłopak, a drugi, młodszy, usługiwał. Na kontuarze stały pokrajane ogórki, czarne suchary i dzwonka ryby; wszystko to okropnie cuchnęło. Było tak nieznośnie duszno, że trudno było usiedzieć, a wszystko było do tego stopnia przesiąknięte zapachem wódki, że zdawało się, iż od samego tego zapachu można już było się upić.

Dom Marmieladów, cz. 1, II

Weszli od podwórza na trzecie piętro. Im wyżej, tym ciemniej było na schodach. Było już około jedenastej wieczór i chociaż w tym czasie w Petersburgu nie ma właściwie nocy, na schodach trzeciego piętra było zupełnie ciemno.

Niziutkie, zakopcone drzwi tuż przy schodach były otwarte. Dopalająca się świeczka oświetlała nędzny pokoik o długości niespełna dziesięciu kroków; całe wnętrze widać było z sieni. Wszystko było porzucane, w nieładzie, głównie różne fatalaszki dziecięce. Kąt w głębi pokoju zawieszony był dziurawym prześcieradłem. Prawdopodobnie stało tam łóżko. W pokoju było wszystkiego dwa krzesła i ceratowa, strasznie obszarpana kanapa, przy której stał nie malowany i niczym nie nakryty sosnowy kuchenny stół. Na brzegu stołu stała w żelaznym lichtarzyku dogasająca świeczka. Jak się okazało, Marmieladów mieszkał nie kątem, lecz w oddzielnym pokoju, za to pokój był przechodni. Drzwi do dalszych pokoi, a raczej klitek, na jakie podzielone było mieszkanie Amalii Lippewechsel, były uchylone. Słysząc było stamtąd krzyki, hałasy i głośny śmiech. Zdaje się, że grano tam w karty i pito herbatę. Od czasu do czasu padały słowa zupełnie niecenzuralne. Raskolnikow natychmiast rozpoznał Katarzynę Iwanowną. Była to strasznie wychudzona kobieta, wysmukła, dość wysoka i przystojna, z pięknymi jeszcze ciemnoblond włosami i istotnie, z czerwonymi wypiekami na policzkach. Chodziła z kąta w kąt po swoim niewielkim pokoiku, z zaciśniętymi na piersiach rękami, ze spieczonymi wargami i miała nierówny, przyśpieszony oddech.

Oczy błyszczały jej jak w gorączce, ale spojrzenie miała ostre, nieruchome. Ta suchotnicza twarz sprawiała okropne wrażenie przy dogasającym, migotliwym płomyku świeczki. Wyglądała na lat trzydzieści i Raskolnikow pomyślał sobie, że rzeczywiście nie pasuje do Marmieladowa... Nie zauważyła nawet wchodzących; zdawała się być w stanie jakiegoś zapomnienia, nie słyszała i nie widziała nic. W pokoju było bardzo duszno, jednakże okna nie otwierała; z klatki schodowej okropnie cuchnęło, drzwi jednak nie zamknęła; z dalszych pokoi waliły przez uchylone drzwi kłęby dymu z papierosów, ona okropnie kaszłała, a jednak drzwi nie przymykała. Najmłodsza dziewczynka, może sześćioletnia, spała na podłodze w jakiejś dziwnej, siedzącej pozycji, z głową wtuloną w kanapę. Chłopiec, o rok starszy od niej, drżał w kącie na całym ciele i płakał. Wyglądało na to, że przed chwilą go wygrzmocono. Starsza dziewczynka, w wieku lat dziewięciu, wysoka i cienka jak zapalka, w nędznej, podartej koszulinie i w narzuconym na ramionka kortowym paltociku, sprawionym jej prawdopodobnie ze dwa lata temu, bo nie sięgał teraz nawet do kolan, stała w kącie obok młodszego braciszka, obejmując go długą, chudą jak patyk ręką. Zdawała się go uspokajać, coś mu szeptała, różnymi sposobami usiłowała powstrzymać go, żeby się znów nie rozbeczał, równocześnie zaś ze strachem śledziła za matką swymi wielkimi, ciemnymi oczyma, które wydawały się w jej wychudłej i wystraszonej twarzyczce jeszcze większe, niż były w rzeczywistości.

Prostytutki

Był tu duży dom, cały zajęty przez szynkownię i inne, podobne zakłady; co chwilę wybiegały z nich kobiety ubrane tak, jak się zwykle chodzi do sąsiadów – z gołą głową i tylko w sukni. W kilku miejscach kobiety gromadziły się na chodniku, przeważnie przy schodach do suterenu, gdzie mieszczą się różne, nader wesołe przybytki. W jednym z tych lokali panował niezwykły hałas i gwar, tak że rozlegał się po całej ulicy; dolatywały dźwięki gitary, śpiewano pieśni, w ogóle bawiono się znakomicie. Grupa kobiet skupiła się u wejścia; niektóre siedziały na schodkach, inne na chodniku, reszta stała i gwarzyła ze sobą. Na jezdni zataczał się, klnąc głośno, pijany żołnierz z papierosem w zębach; chciał widocznie gdzieś wstąpić, ale zapomniał, do którego z lokali. Jeden z oberwańców kłócił się z drugim; jakiś człowiek pijany do nieprzytomności leżał w poprzek ulicy. Raskolnikow zatrzymał się koło większej grupy kobiet. Rozmawiały ochryplymi głosami, ubrane były w perkalikowe suknie, na nogach miały liche buciki, wszystkie były z gołymi głowami. Niektóre miały na pewno po jakie czterdzieści lat, ale były i siedemnastolatki. Prawie wszystkie miały twarze posiniaczone i podbite oczy. [...]

– Nie chcesz do nas wstąpić, kochasiu? – zapytała jedna z kobiet dźwięcznym, nie zachrypniętym jeszcze głosem. Była młoda i nie odrażająca – jedyna z całej grupy.

Etyka Łużyńska

W kłitce Raskolnikowa rozmowa, Razumichin, Łużyński, Zosimow

(...) Zgodzi się pan – mówił dalej, zwracając się do Razumichina, ale już z odcieniem pewnego triumfu i wyższości i o mały włos nie dodał: „młodzieńcze” – że są osiągnięcia, czyli jak to powiadają, postęp, choćby w zakresie nauki i spraw ekonomicznych...

– Ogólniki!

– Nie, to nie są ogólniki, szanowny panie! Jeśli mi, na przykład, dotychczas mówiono: „Kochaj bliźniego”, a ja się do tego stosowałem, to co z tego wynikało? – ciągnął dalej Piotr Pietrowicz może ze zbytnim nieco pośpiechem. – A to, że rozrywałem koszulę na dwie części, dzieliłem się nią z bliźnim i obydwaj zostawialiśmy na pół nadzy, wedle przysłowia: „Kto dwie sroki za ogon łapie...”. Nauka zaś mówi: umiłuj przede wszystkim siebie samego, albowiem wszystko na świecie oparte jest na interesie osobistym. Oprzesz się na miłości samego siebie, to i interesy swoje obrobisz, jak należy, i koszula zostanie ci cała. Wiedza ekonomiczna dodaje jeszcze, że im więcej jest w społeczeństwie uporządkowanych spraw osobistych, prywatnych i że tak powiem, całych koszul, tym mocniejszą ma ono podstawę istnienia i tym lepiej postawiona zostaje sprawa ogólna. Z tego wynika, że zdobywając wszystko jedynie i wyłącznie dla siebie, tym samym niejako

przysparzam dobra ogółowi i prowadzę do tego, żeby bliźni mógł otrzymać coś więcej ponad podartą koszulę, i to już nie z racji prywatnej, jednostkowej szkodliwości, lecz wskutek ogólnego dobrobytu. [...]

Jakże sobie wytłumaczyć to rozluźnienie obyczajów cywilizowanej warstwy naszego społeczeństwa?

– Jak wytłumaczyć? – zachnął się Razumichin. – Właśnie można to wytłumaczyć nazbyt zakorzenionym nieróbstwem. [...]

– Pięknie, ale moralność? I że tak powiem, zasady...

– Właściwie, o co pan sobie głowę suszy? – nieoczekiwanie wtrącił się Raskolnikow. – Toż to w myśl pańskiej teorii!

– Jak to w myśl mojej teorii?

– Proszę wysnuć ostateczne wnioski ze swych kazań, a wypadnie, że wolno zarzynać ludzi... [...]

– Wszystko ma swoją miarę – wyniośle podjął Łużyn. – Teoria gospodarcza to jeszcze nie przyzwolenie na morderstwo; jeśli tylko przypuścimy...

– A czy to prawda, że pan – nagle przerwał Raskolnikow głosem drżącym z gniewu i pełnym jakiejś złej radości – czy to prawda, że pan powiedział swej narzeczonej... zaraz po uzyskaniu jej zgody... że najwięcej się cieszy... z jej nędzy... gdyż najkorzystniej jest brać sobie żonę spośród nędzarek, by później móc nad nią panować... i wypominać jej swoje dobrodziejstwa?... (179-181)

Poglądy socjalistów

Razumichin o poglądach socjalistów na zbrodnie na spotkaniu u Porfirego Pietrowicza

Zaczął się od poglądu socjalistów. Pogląd wiadomy: zbrodnie to protest przeciw niemoralnemu ustrojowi społecznemu, i basta, i nic więcej, i żadnych innych przyczyn się nie dopuszcza, i nic... (...)

– N-nic się nie dopuszcza! – z zapalem przerwał Razumichin – nie przekreślam... Mogę ci pokazać ich książki; wszystko u nich pochodzi stąd, że "środowisko spaczyło człowieka" – i nic więcej. Ulubiony ich frazes. Stąd prosty wniosek, że gdyby dać społeczeństwu ustrój normalny, wszystkie zbrodnie znikną od razu, jak zdmuchnął, i wszyscy w mig staną się cnotliwi. Natura się nie liczy, naturę wyrzuca się za drzwi, natury nie potrzeba! U nich nie jest tak, że ludzkość, rozwijając się aż do końca historyczną, żywą drogą, sama przez się zmieni się wreszcie w społeczeństwo normalne, lecz odwrotnie, system społeczny, wyszedłszy z jakiejś matematycznej głowy, od razu uporządkuje całą ludzkość, w mig uczyni ją sprawiedliwą i bezgrzeszną, przed wszelkim żywym procesem, bez żadnej dziejowej i żywej drogi. Dlatego też tak instynktowo nie lubią historii: "zawiera ona same łośtrostwa i głupstwa" – wszystko się u nich tłumaczy jedynie głupotą, dlatego również tak nie lubią żywego procesu życia: nie potrzeba żywej duszy. Żywa dusza zażąda życia, żywa dusza nie usłucha mechaniki, żywa dusza jest podejrzana, żywa dusza jest wsteczna! To zaś, czego oni chcą, trąci wprawdzie truposzem, wprawdzie można to zrobić z kauczuku, ale za to jest to nieżywe, za to jest bez woli, za to jest niewolnicze, nie pomyśli o buncie! W rezultacie wszystko się sprowadza do układania cegiełek, do planowania korytarzy i pokoi w falansterach¹! Falanster, owszem, gotów, ale natura wasza nie jest gotowa do falansteru, pragnie życia, nie dokonała życiowego przebiegu, nie kwapi się na cmentarz! Z pomocą samej tylko logiki nie da się przeskoczyć natury! Logika przewidzi trzy wypadki, a wypadków jest milion! Odciać więc cały milion i wszystko sprowadzić do kwestii komfortu! Najłatwiejsze rozwiązanie! Kuszająca jasność, i nie potrzeba myśleć! Grunt, że nie potrzeba myśleć! Cała tajemnica żywota mieści się na dwu kartkach druku!

Teoria Raskolnikowa

(Raskolnikow podczas spotkania u Porfirego wyjaśnia mu swój artykuł, prawdopodobnie

1 Falanster – wspólny dom mieszkalny dla około 1600 osób, zrzeszonych w falangach Charlesa Fouriera (1772-1837), francuskiego twórcy jednej z głównych odmian socjalizmu utopijnego. Falangi, rodzaj zrzeszenia spółdzielczego wytwórców i spożywców, miały być podstawową komórką tego idealnego ustroju.

inspirowany traktatem Thomasa de Quinceya(1785-1859) *O zabójstwie jako jednej ze sztuk pięknych* (1827))

Po prostu napomknąłem, że człowiek "niezwykły" ma prawo... właściwie nie prawo urzędowe, tylko sam sobie może w sumieniu pozwolić na przekroczenie... niektórych zapór, i to jedynie w razie, gdy tego wymaga urzeczywistnienie jego idei (niekiedy może zbawiennej dla całej ludzkości). (...) Moim zdaniem, gdyby odkrycia Keplera i Newtona, wskutek jakichś okoliczności, żadną miarą nie mogły stać się wiadome ludziom inaczej niż przez ofiarę życia jednego człowieka, dziesięciu, stu i tak dalej ludzi, którzy by temu odkryciu przeszkadzali lub stawiali mu w poprzek, wówczas Newton miałby prawo, owszem, byłby obowiązany... usunąć tych dziesięciu czy stu ludzi, ażeby całą ludzkość zapoznać ze swymi odkryciami. Ale bynajmniej nie wynika stąd, by Newton miał prawo zabijać, kogo mu się spodoba, ani dzień w dzień kraść ze straganów. Dalej, o ile pamiętam, snuję w swym artykule myśl, że wszyscy... na przykład prawodawcy i założyciele fundamentów ludzkości, poczynając od najstarożytniejszych, poprzez Likurgów, Solonów, Mahometów aż do Napoleonów i tak dalej, wszyscy co do jednego byli przestępcami już choćby przez to, że dając nowe prawo, tym samym naruszali dawne, święcie czczone przez społeczeństwo i odziedziczone po ojcach – no i nie wzdragali się przed rozlewem krwi, jeśli tylko ta krew (czasem niewinna całkiem i bohaterko przelana w obronie dawnego prawa) mogła im być pomocna. Jest nawet rzeczą zastanawiającą, że w większości wypadków ci ustawodawcy i dobroczyńcy ludzkości najsrożej przelewali krew. Słowem, wywodzę, że wszyscy – nie tylko najwięksi, lecz również ludzie choć trochę nietuzinkowi, choć trochę zdolni powiedzieć coś nowego, muszą na mocy swej natury koniecznie być przestępcami – w stopniu większym lub mniejszym, rzecz prosta. Inaczej trudno by im było wydobyć się z koleiny, na pozostanie zaś w niej oni zgodzić się nie mogą, znowuż wskutek swej natury, a dodam od siebie, że nawet obowiązani są nie zgodzić się na to. Jak pan widzi, na razie nie ma w tym wszystkim nic szczególnie nowego. Było to tysiąc razy drukowane i czytane. Co się zaś tyczy mego podziału ludzi na zwykłych i niezwykłych, zgadzam się, że jest on trochę dowolny, ale ja przede nie obstaję przy ścisłych liczbach. Wierzę tylko w swoją myśl zasadniczą. Polega ona na tym, że ludzie podług prawa przyrody dzielą się ogólnie na dwie klasy: na klasę ludzi niższych, będących, że tak powiem, materiałem, który służy wyłącznie do wydawania na świat sobie podobnych, oraz na ludzi właściwych, to znaczy posiadających dar czy talent, który im pozwala wygłosić w swoim środowisku nowe słowo. Oczywiście, podklas jest tu bez liku, ale znamiona wyróżniające obu klas są dość ostre: klasa pierwsza, czyli materiał, to ogólnie biorąc ludzie z przyrodzenia zachowawczy, przykładni, ulegli i swą uległość miłujący. Uważam też, że powinni być ulegli, bo do tego są przeznaczeni i nie ma w tym nic zgoła, co by ich poniżało. Ludzie należący do drugiej klasy – wszyscy przekraczają prawo, są burzycielami albo są do tego skłonni, zależnie od uzdolnień. Przeszłości tych ludzi, naturalnie, są względne i wielorakie; najczęściej domagają się oni w najróżnorodniejszych wystąpieniach zniszczenia istniejącego stanu w imię lepszego. Lecz jeśli takiemu człowiekowi dla ziszczenia jego idei wypadnie stąpać chociażby po trupach, przez krew, to sadzę, że może on wewnętrznie, w zgodzie z sumieniem, zezwolić sobie nawet na pochód poprzez krew – co zresztą zależy od tej idei i jej rozmiarów, proszę to sobie zakonotować. Tylko w tym znaczeniu mówię w swym artykule o ich prawach do zbrodni. (Bo jak pan pamięta, zagailiśmy tę rozmowę od kwestii jurydycznej.) Ale powodów do wielkiego niepokoju nie ma: ogół prawie nigdy nie przyznaje im tego prawa, ścina ich i wiesza (mniej lub więcej) i w ten sposób, całkiem słusznie, wypełnia swe zachowawcze przeznaczenie – z zastrzeżeniem jednak, że w następnych generacjach tenże ogół wynosi tamtych ściętych na piedestał i otacza ich czcią (mniej lub więcej). Pierwsza klasa jest zawsze władczynią teraźniejszości, druga klasa – władczynią przyszłości. Pierwsi zachowują świat i pomnażają go liczebnie; drudzy pchają świat naprzód, i kierują go ku oznaczonym celom. Jedni i drudzy mają zupełnie równe prawo istnieć. Słowem, u mnie wszyscy posiadają prawo równomocne, i – *vive la guerre eternelle*² – aż do Nowego Jeruzalem³, rzecz jasna. – Więc w Nowe Jeruzalem pan jednak

2 (fr.) – niech żyje wieczna wojna.

3 W Apokalipsie (XXI, 2) czytamy: "Ja, Jan, widziałem święte miasto Jeruzalem nowe, zstępujące z nieba od Boga, przygotowane jak oblubienica przystrojona dla swego męża". W socjalizmie utopijnym Nowe Jeruzalem było

wierzy? (...)

Bo, bracie, jeśli ty to na serio... Zapewne, masz słuszną mowę, że to nienowe, że to przypomina wszystko, cośmy tysiąc razy czytali i słyszeli; lecz co jest w tym wszystkim rzeczywiście oryginalne – co, ku memu przerażeniu, rzeczywiście należy tylko do ciebie, to że ty, bądź co bądź, przyzwalasz na krew zgodnie z sumieniem, i to, wybacz, aż z jakimś fanatyzmem... Więc oto na czym polega przewodnia myśl twego artykułu. Takie zezwolenie na krew zgodnie z sumieniem to... według mnie, to straszniejsze, niż gdyby urzędowo, prawnie pozwolono przelewać krew... – Zupełna racja, to straszniejsze – potwierdził Porfiry. (310) (...)

– Kto sumienie posiada, niech cierpi, skoro zdał sobie sprawę z pomyłki. Będzie mu to karą – obok katorgi. – A ci prawdziwie genialni – spytał nachmurzony Razumichin – ci, którym wolno wyrzynać innym, ci nie powinni wcale cierpieć, nawet za przelaną krew? – Po co tu słowo: powinni? Nie ma tu miejsca na pozwolenia i zakazy. Niechaj cierpi, jeżeli się lituje nad ofiarą... Cierpienie i ból są nieodłączne od rozległej świadomości i głębokiego serca. Myślę, że ludzie naprawdę wielcy zawsze muszą odczuwać na świecie wielki smutek – dodał z nagłą zadumą, w tonie nie harmonizującym z całą rozmową. (312)

Raskolnikow i Sonia, Kto ma żyć? (cz. V, IV)

Wyobraź sobie, Soniu, że z góry znasz wszystkie zamiary Łużyna, wiesz (i to wiesz na pewno), że gdyby je urzeczywistnił, z kretesem przepadłaby Katarzyna Iwanowna, no i dzieci, no i ty na dokładkę (za nic siebie masz, więc: na dokładkę). Polunia również... boć i przed nią ta sama droga. Otóż – gdyby nagle kazano zdecydować, kto ma żyć na świecie: on czy oni? To znaczy, czy ma żyć i robić łajdactwa Łużyn, czy też ma umrzeć Katarzyna Iwanowna? Więc jakbyś postanowiła? że które z nich ma umrzeć? Pytam ciebie. (...)

– Czemu pan pyta o rzeczy niemożliwe? – z odrazą otrząsnęła się Sonia.

– Czyli: niech lepiej Łużyn żyje i robi łajdactwa! Nawet tego nie śmiesz zdecydować?

– Ale ja przecież nie znam zamiarów Bożych... Czemu pan pyta o to, o co pytać nie wolno? Po co są takie czcze pytania? Jakim sposobem miałyby to zależeć ode mnie? I któż mi dał prawo rozsądzania, kto ma, a kto nie ma żyć? (479)

Raskolnikow i Sonia, Dlaczego zabił? (cz. V, IV)

Gdybym tylko zabił z głodu – (...) – to byłbym teraz... szczęśliwy! (...)

Porfiry Pietrowicz o Raskolnikowie

(rozmowa w części VI, II)

Że pan jest mężny, zuchwały, poważny i... czujący, wiele czujący – wszystko to dawno wiedziałem. Mnie te wszystkie odczucia są znane, również pański artykułik przeczytałem jak coś znanego.

Podczas bezsennych nocy w jakimś zapamiętaniu łągł się ten artykuł, z zamieraniem i łomotaniem serca, z tłumionym entuzjazmem. Niebezpieczny jest ten tłumiony, dumny entuzjazm młodzieży. (529)

(...) Myślałem sobie: teraz ten człowiek przyjdzie, sam przyjdzie, i to bardzo prędko, jeżeli winien, to niechybnie przyjdzie. Inny by nie przyszedł, ale ten przyjdzie. (...), 530)

To sprawa fantastyczna, mroczna sprawa współczesna, w stylu naszego stulecia, kiedy się ludzkie serce zmąciło; kiedy się szermuje frazesem, że krew "odświeża", kiedy się głosi życie ułatwione. Mamy tutaj książkowe rojenia, mamy tutaj serce rozjątrzone teorią; widocznie tu jest zdecydowanie się na pierwszy krok, ale zdecydowanie się osobliwego autoramentu: człowiek się zdecydował, ale tak jakby runął z wysokiej góry, jakby spadł z dzwonnicy; poszedł popełnić zbrodnię jakby nie na własnych nogach. Zapomniał przymknąć drzwi za sobą, a zabił; dwie osoby zabił – dla teorii. Zabił, a pieniędzy wziąć nie potrafił, co zaś zdążył porwać, to ukrył pod kamieniem. Nie dość mu było, że zniósł katusze, kiedy siedział za drzwiami, a do drzwi się dobijali, targali za dzwonek; nie, on potem, w półprzytomny, idzie do pustego już mieszkania, żeby przypomnieć sobie ten dzwonek,

żeby raz jeszcze doświadczyć lodowatych dreszczy wzdłuż kręgosłupa... Pewno, można to ostatecznie tłumaczyć chorobą, lecz mamy i coś lepszego: zabił, a poczytuje siebie za człowieka uczciwego, gardzi ludźmi, paraduje jak biały anioł... (534-535)

Bo za kogo ja pana mam? Mam pana ze jednego z takich, co to – wypruwają mu kiszki, a on będzie stał i z uśmiechem patrzył na oprawców, jeżeli tylko znajdzie wiarę lub Boga. Więc też znajdzie, a będziesz żył. Po pierwsze, już od dawna potrzeba ci zmiany powietrza. Ha, cóż, cierpienie to także rzecz dobra. Pocierp. Może Mikołka ma rację, że pragnie cierpienia. Wiem, o wiarę trudno, ale nie mędrkuj pan zawile; oddaj się życiu wprost, bez rezonerstwa; nie bój się: ono samo wyniesie cię na brzeg i postawi na nogi. (539)

– A jeżeli ucieknę? – jakoś dziwnie uśmiechnął się Raskolnikow. – Nie, pan nie ucieknie. (...) Pan zaś już przecie nie wierzy w swoją teorię, więc z czymże ucieknie? I co panu po ucieczce? Zbiegowi żyje się trudno i paskudnie, panu zaś przede wszystkim trzeba życia i określonej sytuacji, odpowiedniego powietrza – a czyż tam powietrze dla pana odpowiednie? Ucieknie pan i sam wróci. Bez nas nie może się pan obejść. Jeżeli natomiast wpakuję pana do więzienia, posiedzi pan miesiąc, no dwa, no trzy, a później raptem przypomni sobie moje słowa, sam się stawi, i to jak! może w sposób niespodziewany dla siebie. Na godzinę przedtem nie będzie pan jeszcze wiedział, że się zgłosi ze skrucą. Jestem nawet pewien, że postanowi pan "przyjąć cierpienie", na słowo mi pan teraz nie wierzy, lecz sam dojdzie do tego. Bo cierpienie, Rodionie Romanyczu, to wielka rzecz. (541)

Sidrygajłow o zbrodni Raskolnikowie

(w rozmowie z siostrą Raskolinowa cz. VI, V)

– Długa to sprawa, Awdotio Romanowno. Jest tutaj... jakże by to pani wyrazić, swego rodzaju teoria, podobna do racji, dla której ja na przykład uważam poszczególny zły czyn za dopuszczalny, o ile główny cel jest dobry. Jeden czyn zły, setka dobrych! A przy tym niemiło jest młodemu człowiekowi, zdolnemu i niepomiernie ambitnemu, kiedy wie, że gdyby miał, powiedzmy, marne trzy tysiące, cała jego kariera, cała przyszłość i plany życiowe ułożyłyby się inaczej, a tu właśnie brak tych trzech tysięcy. Proszę dodać rozjątrzenie z powodu głodowania, ciasnej stancji, łachmanów, jasnej świadomości swej wspaniałej sytuacji społecznej, a zarazem sytuacji siostry i matki. Najgorsze zaś – próżność, duma i próżność, przy dobrych... gdyż Bóg go raczy wiedzieć, może i dobrych skłonnościach... Ja go przecie nie oskarżam, proszę czasem nie myśleć, i nie moja to rzecz. Miał też pewną własną teoryjkę – taką sobie teorię, że ludzie się dzielą, uważa pani, na tworzywo i na ludzi właściwych, to znaczy takich, których skutek ich wzniosłości prawo nie obowiązuje, przeciwnie, to oni sami ustanawiają prawa dla innych ludzi, dla tego tworzywa, dla śmieci. Ot, taka sobie teoryjka; une théorie comme une autre. Strasznie mu zaimponował Napoleon, a raczej zaimponowało mu to, że bardzo wielu genialnych ludzi, nie oglądając się na krzywdę jednostki, bez namysłu kroczyło naprzód. Podobno wyobraził sobie, że sam jest genialnym człowiekiem – przez jakiś czas był tego pewien. Mocno cierpiał i teraz cierpi na myśl, że teorię wymyślić potrafił, natomiast bez namysłu przekroczyć nie zdołał, więc widocznie genialnym człowiekiem nie jest. A to dla ambitnego młodzieńca ponizające, szczególnie w naszych czasach. (576-577)

Rodia i Dunia o zbrodni

(brat i siostra, cz. VI, VII)

– Czyż idąc na cierpienie, tym samym na wpół nie zmywasz swojej zbrodni? – wykrzyknęła ściskając go i całując.

– Zbrodni? Jakiej zbrodni?! – huknął znienacka w dziwnie gwałtownej pasji. – Że zabiłem plugawą, szkodliwą wesz, babsztyla, lichwiarkę nikomu niepotrzebną, za której zabicie czterdzieści grzechów się maże, która z biedaków wysysała soki – to ma być zbrodnia? Nie myślę o tej zbrodni i zmywać jej nie zamierzam. Czemu wszyscy mi wciąż wytykają: "Zbrodnia, zbrodnia!" Dopiero teraz jasno widzę cały nonsens mojej małoduszności, teraz, kiedy już postanowiłem iść na ten niepotrzebny wstyd! Decyduję się po prostu wskutek swej lichoty i nijakości, no i może jeszcze ze

względu na korzyść, jak mi to proponował... ten... Porfiry!...

– Rodia, Rodia, co ty mówisz! Przecie tyś przelał krew! – zawołała z rozpaczą Dunia.

– Którą wszyscy przelewają – podchwycił nieomal zapamiętałe – która leje się i zawsze się lała na świecie jak wodospad, która leje się jak szampan i za którą wieńczą na Kapitolu i potem zwą dobroczyńcą ludzkości. Spójrzże uważniej i zrozum! Ja sam chciałem dobra dla ludzi, spełniłbym setki, tysiące dobrych uczynków zamiast tego jednego głupstwa, nie głupstwa nawet, tylko po prostu niezręczności, bo cała ta myśl nie była wcale tak głupia, jak się wydaje teraz wskutek niepowodzenia... (przy niepowodzeniu wszystko wydaje się głupim!). Przez to głupstwo pragnąłem tylko osiągnąć niezależność, postawić pierwszy krok, zdobyć środki, a później wszystko by się zatarło dzięki niewspółmiernie większemu pożytkowi... Ale ja, ja nawet pierwszego kroku nie wytrzymałem, ponieważ jestem – podły! W tym cały sęk! A mimo to nie będę patrzył waszymi oczami; gdyby mi się powiodło, włożono by mi wieniec, teraz zaś pchają mnie w żelaza!

– To przecie nie to, wcale nie to! Rodia, co ty mówisz!

– Aha! To nie ta forma, nie dość estetyczna, nie dość ładna forma! Otóż stanowczo nie rozumiem: dlaczego walić w ludzi pociskami, morzyć ich regularnym oblężeniem – to ma być szacowniejsza forma? Lęk przed estetyką jest pierwszą oznaką bezsilności. Nigdy, nigdy jaśniej nie zdawałem sobie z tego sprawy niż teraz, mniej niż kiedykolwiek rozumiem tę moją "zbrodnię"! Nigdy, nigdy nie byłem silniejszy ani bardziej przekonany niż teraz!... (608-609)

Rozważania Raskolnikowa (cz. VI, VII)

"Zły jestem, widzę to – myślał po chwili, zawstydzony, że z taką opryskliwością machnął siostrze ręką. – Ale dlaczego one tak mnie kochają, skórom tego niewart! Och, gdybym był sam jeden i nikt mnie nie kochał, i gdybym ja także nigdy nikogo nie kochał! Nie byłoby tego wszystkiego;(...)" (611)

Był chory od dawna (...) Wstydział się nawet Soni, którą też gnębił za to pogardliwym i gburowatym traktowaniem. Ale nie ogolonej głowy i kajdan się wstydział: dotkliwie zraniona była jego duma, i właśnie ze zranionej dumy zachorował. O, jakże byłby szczęśliwy, gdyby mógł siebie winić! Zniósłby wtedy wszystko, nawet wstyd i hańbę. Sądził siebie surowo, ale zatwardziało jego sumienie nie znajdowało w przeszłości żadnej szczególnie okropnej winy, chyba tylko zwykłe chybienie, które każdemu mogło się przytrafić. Wstydział się właśnie tego, że on, Raskolnikow, zaprzepaścił się tak na oślep, beznadziejnie, głucho i głupio, z jakiegoś wyroku ślepego losu i teraz musi ukorzyć się i poddać "nonsensowi" jakiegoś tam werdyktu, o ile chce uzyskać choć trochę spokoju. (...) Po co ma żyć? Jakie wytknąć sobie cele? Do czego dążyć? Żyć, aby istnieć? Ależ on i dawniej był tysiąc razy gotów oddać swoje istnienie dla idei, dla nadziei, nawet dla ułudy. Samo istnienie nigdy mu nie wystarczało; zawsze chciał czegoś więcej. Może to właśnie ta jego siła pragnień kazała mu wtedy uwierzyć, że jest człowiekiem, któremu wolno więcej niż innym. (...) Ale nie czuł skruchy z powodu swej zbrodni. Mógłby się przynajmniej złościć na swą głupotę, jak złościł się dawniej na niedorzeczne i głupie swe postępowanie, które go doprowadziło do więzienia. Ale teraz, już w więzieniu, na wolności, ponownie rozważył i przemyślał wszystkie swoje postęпки i wcale nie uznał, by miały być tak głupie i niedorzeczne, jak mu się zdawało dawniej, w owym strasznym czasie. (...)

"Dlaczego mój czyn wydaje im się tak szkaradny? – pytał siebie. Czy dlatego, że jest występny? Cóż oznacza słowo „występek”? Sumienie mam spokojne. Zapewne, zostało dokonane przestępstwo kryminalne; zapewne, została naruszona litera prawa i przelana krew; ślicznie, weźcież za literę prawa moją głowę... i basta! Naturalnie, w takim razie nawet liczni dobroczyńcy ludzkości, którzy nie odziedziczyli władzy, tylko sami ją zagarnęli, powinni byli być powieszani od razu po pierwszych swych krokach. Ale tamci ludzie potrafili to wytrzymać i dlatego mają słuszność, ja zaś nie wytrzymałem, a przeto nie miałem prawa pozwolić sobie na ten krok." Upatrywał zbrodnię jedynie w tym, że nie wytrzymał i że dobrowolnie zgłosił swą winę. Cierpienie sprawiała mu również myśl: czemu podówczas nie odebrał sobie życia? Dlaczego stał wtedy nad rzeką, ale wolał się zgłosić? Czy rzeczywiście pragnienie żyda jest tak silne i tak trudno

je pokonać? Przecież pokonał je Swidrygajłow, który bał się śmierci.

Z udręką zadawał sobie to pytanie i nie mógł zrozumieć, że może już nawet wtedy, gdy stał nad rzeką, wyczuwał w sobie i w swych przekonaniach głęboki fałsz. Nie rozumiał, że to poczucie mogło być zapowiedzią tego, co przyjdzie w jego życiu, przyszłego zmartwychwstania, przyszłego nowego poglądu na życie. (Epilog, 634-637)